

## Werner Alberti.

Niedawno bo przed tygodniem niespełna wróciło jedno z codziennych pism warszawskich uwagę ogólną świata muzycznego na tę okoliczność, iż kiedy pierwsze kadry jedynej w sezonie obecnym opery polskiej w Warszawie (we Lwowie nie będzie tego roku, jak to doniosły pisma lwowskie, przedstawień operowych) wypełnione są śpiewakami i śpiewaczkami zagranicznymi, sprowadzonymi (n. b. za drogie pieniądze) z pod błękitnego nieba Italii lub z nad brzegów ocienionych kwiecistymi oleandrami Tagu i Quadalquiviru — to nasi artyści i to tej miary, jak Kruszelnicka, Korolewicz-Wajda, Didur, Leliwa, Łukaszewska, Lierhammer i wielu innych śpiewają i dają się podziwiać w Medyolanie, Rzymie, Monte-Carlo, Madrycie, Londynie itd. — Tych, którzy pozostać muszą w kraju i śpiewają dla swoich tych liczymy niewiele — a obdarzamy ich nie wieńcami laurowymi — lecz tylko listkami (czasem fałszowanymi) — lub „krytykujemy“ z całem zamiłowaniem ulubionego u nas „krytykowania“, uznając natomiast z namaszczeniem „firmy“ i dobre „marki“ zarekomendowane nam przez kogoś, co ma stosunki za granicą.

Wie o tem dobrze polska młodzież śpiewacza, bo jeśli pragnie pracować w kraju dla swoich, i cieszyć się ogólnem uznaniem, to musi oglądać się albo za zasiłkiem, albo za „mecenase“, jechać za granicę, kształcić się tam, a następnie służyć obcym bogom — aby zdobywszy laury u obcych, wrócić następnie w domowe pielesze i nucić tylko swoim. — Śpiewaków takich mamy za granicą wielu i nieraz czytającemu w pismach włoskich, francuskich lub niemieckich nazwiska podziwianych i uznanych artystów, ani przez myśl nie przejdzie, że cudzoziemskie imię jest tylko pseudonimem, za którym ukrywa się polski śpiewak lub polski artysta. Temu i owemu minie na wędrownie latkę sporo — nieraz tyle, że i rozluźnią się węzły łączące go z ojczyzną a ten i ów do kraju już nie wraca. Smutna dola.

Jednym z takich trubadurów, którzy szukając



wpierw uznania (no i... złota) u obcych, jest artysta, którego podobiznę przynoszą dziś „Nowości Ilustrowane“ — Werner Alberti.

Konia z rzędem temu, ktoby poza tem z niemiecka po włosku brzmiącym imionisku, poznał Polaka i w dodatku Poznańczyka. — Nazywa się naprawdę Wojciech Krzywonos.

Już jako małe chłopię zdradzał niezwykłą muzykalność. Wysłano go więc na naukę do Włoch gdzie kształcił się lat parę u medyolańskich maistrów a następnie u mistrza z Lugnano... Lamportiego. Alberti-Krywonos debintował w Medyolanie i pierwsze lata swojej kariery operowej spędził we Włoszech, śpiewając naprzemian w teatrach „dal verme“ i „la scala“, a następnie w Pizie, Rzymie, Padwie, Wenecji itd.

Pierwszym etapem poza karierą włoską, był Paryż, gdzie rodaka naszego nazwano „le roi du grand C“ (król wysokiego C). Paryż otworzył Albertiemu-Krywonosowi podwoje Europy. Śpiewa on odtąd na wszystkich największych scenach, jak Drezno, Berlin, Wiedeń, Hamburg, Petersburg, Moskwa, Ryga itd. Na wesolej tej tułaczce trubadura, upłynęło mu lat kilkanaście, w ciągu których odwykł po części od używania w śpiewie mowy rodzinnej, śpiewając stale po włosku.

Przed naszą publicznością stanął Alberti przed dwoma laty — angażowany przez Hellera na parę gościnnych występów podczas „stagione“ filharmonii lwowskiej w Krakowie. Odtworzył on kilka postaci z oper włoskiego repertuaru. Pięknym i niezmordowanym głosem i zadzierzystą postawą, zdobył sobie Alberti życzliwość publiczności krakowskiej — a w roku zeszłym pozyskał również wybredną na punkcie śpiewaków, a szczególnie tenorów i trudną do zdobycia publiczność lwowską.

Przyjęty życzliwie i owacyjnie na jednym z wieczorów patriotycznych, postanowił Alberti zwiedzić i resztę kraju. Parę swobodnych dni pozwoliło mu urządzić koncerta w filharmonii lwowskiej, w której śpiewał z wielkiem powodzeniem, następnie w Czerńowcach, a w końcu i w kilku większych miastach Galicji.

Sympatycznemu śpiewakowi, który zbierał oklaski, tryumfy i dowody uznania u najmuzykalniejszych słuchaczy Europy i Ameryki — oby towarzyszyło uznanie i naszego społeczeństwa, które umie cenić i pieśni i pieśniarzy. Z. Ursa.

## TAJEMNICZA WILLA

(Z opowiadań włamywacza na tle prawdziwych zdarzeń).

Z angielskiego przełożył  
KAZIMIERZ E.

(Ciąg dalszy.)

10

— Podśledzałem wczoraj rozmowę pana profesora Follena z panią. Panią nie była taka błada. Przeciwnie małe rumieńce okraszały jej twarzyczkę i nie była smutna, jak przed tem, owszem! Cała jej rozmowa była nacechowana wesołością i dobrym, takim młodzieńczym humorem. Wyraźnie słyszałem, jak mówiła do ojca: „Ach kochany tatku! Czuje, że zdrowie mi powraca! On już od tygodnia przestał mnie prześladować; od tygodnia żyję już w spokoju i jestem pewna, że więcej się już nie pojawi!“

— Co ty mówisz, Tereso! — zawołał pan Follen — i z czegoż to wyciągasz tak wesoły wniosek?

— Ach! — uśmiechnęła się na to panna Teresa — dotychczas przychodził zawsze i wysysał mi krew tak chciwie, aż w ostatnich czasach zaczął się coraz rzadziej pokazywać i postać jego miała coraz mniej wyraźne kształty. Przed ośmiu dniami zjawił się znowu u mnie. Widziałam go całkiem wyraźnie i czułam, że już chce wpić swe zęby w me ramię, gdy w tem zjawiła się świetlista postać młodego mężczyzny, o stalowych muszkułach i bujnej czarnej czuprynie. Gdy on rzucił się na mnie, świetlista ta postać pochwyliła go za bary i rozpoczęła się straszna walka, która jednak nie trwała długo, bo on rozplątał się we mgle, a świetlista postać odniosła zupełne zwycięstwo! Jak sądzisz ojczu, czy nie zostałam już raz na zawsze uwolnioną od mego prześladowcy?...

— Ależ naturalnie Tereso — odparł z powagą ucieszony pan Follen — przekleństwo dzięki Bogu zostało zdjęte z ciebie i znów powrócisz do zdrowia!

— Do zdrowia? tak! ale jabym chciała ojczu zaznać i tego, co się nazywa szczęściem!

— I na to przyjdzie kolej, moja córko! Ale, czy sądzisz, że mógłbym cię być utrzymać przy

życiu, gdyby się nie byli znaleźli ludzie, którzy cię żywili swą krwią własną?...

— Co ty mówisz ojczu! — zawołała przerażona panna Teresa — ja cię nie rozumiem, nie pojmuję, co ty właściwie mówisz?...

— No moje kochane dziecko — rzekł spokojnie i poważnie profesor Follen — teraz mogę ci to chyba wytłumaczyć!

I pan Follen powoli, bardzo oględnie opowiedział swej córce, jak to krwią innych ludzi zasilali jej wycieńczone żyły i, że obecnie przebywa w willi człowiek, który ostatnimi czasy przez szereg tygodni na ten cel swą własną krew bez przymusu ofiarował. Naturalnie pan Follen nie powiedział, do jakiej kategorii ludzi pan należy, owszem, z całem uznaniem i wdzięcznością wyrażał się o panu, a gdy skończył swe opowiadanie, panna Teresa zaczęła go błagać, aby przedstawił jej pana, aby pozwolił jej samej podziękować za tę pańską ofiarność. Pan Follen zrazu nie chciał się przychylić do prośby panny Teresy, ale gdy zobaczył, że oczy jej łzami zachodzą, bez wahania zgodził się na jej żądanie. W ten więc sposób niebawem pozna pan pannę Teresę i przekona się pan sam, jakie to dobre, łagodne i urocze dziewczę!... Ach jak ja się cieszę z tego!...

I łzy radości ukazały się w pocziwych oczach olbrzyma.

Po tej rozmowie drżałem z niecierpliwości ujżenia tej, którą moja krew uchroniła od niechybnej śmierci.

Nie czekałem długo, bo już zaraz nazajutrz doktor Follen przyszedł rano do mego pokoju i oświadczył bez żadnych ogródek:

— Moja córka chciałaby pana zobaczyć i poznać. Proszę niech pan pozwoli za mną!...

Serce uderzyło mi gwałtownie, kiedy przestępowałem wraz z doktorem próg pokoju, w którym przemieszkowała panna Teresa, ale wówczas jeszcze nie spodziewałem się, że za parę minut zabije ono jeszcze gwałtowniej.

Panna Teresa, ubrana w powłóczystą suknię z czarnego kaszmiru, spoczywała w pół leżąc, w pół siedząc na otomance. Na twarzy jej, okraszanej lekkim rumieńcem, znać było jeszcze ślady cierpień,

jakie przechodziła przed niedawnym czasem, ale w oczach jej płonął już ogień budzącego się na nowo życia.

Stanąłem w progu i z podziwem patrzałem w tę piękną twarz madonny. Nie mogłem słowa wyrzec.

Zanim zaś profesor zdołał mnie przedstawić, stało się coś nadzwyczajnego, coś niepojętego!

Zaledwie mnie panna Teresa dostrzegła, jak koń dotknięty nagle ostrogą jeźdźca, zerwała się z otomanki i zarzuciwszy obie białe jak marmur rączki na szyję ojca zawołała dźwięcznym głosem:

— O mój ojczu! mój drogi ojczu! To on! to on! On jest tą świetlistą postacią, którą widziałam we śnie! To on zwyciężył mego strasznego prześladowcę, który gwałtem chciał mnie wciągnąć do grobu! O! jakże dziękuję Bogu, że mego wybawcę nie tylko w snach, ale także na jawie mogłam zobaczyć!

Usłyszawszy te słowa, stanąłem, jak wryty. Zdziwienie moje nie miało granic, a zdaje mi się, że i doktor Follen nie spodziewał się czegoś podobnego, bo i on nie mógł się zdobyć na słowo odpowiedzi.

W każdym razie zajście to nie musiało być dlań wielce przyjemnem, bo ochłonałszy ze zdumienia, rzekł surowo:

— Tereso! moje dziecko! proszę cię bardzo, nie zapominaj się!...

— O mój ojczu, odpowiedziała panią z tą samą żywością, co pierwej — ja się bynajmniej nie zapominam, ale czyż można uważać to za coś złego z mojej strony, jeśli serce me goręcej bije dla człowieka, który, po dwakroć uratował mi życie? O mój ojczu! Na tym punkcie ja nie myślę wcale krępować się jakimiś głupimi konwenansami!

I panna Teresa, mówiąc te słowa, znów utkwiała swój wzrok w mych żrenicach, a to spojrzenie było tak czułe, taka siła przebiegała się w niem, że i ja odrazu uczułem w sercu budzącą się miłość do tego wiotkiego dziewczęcia.

Doktor Follen spojrział na córkę i wzruszył z niechęcią ramionami.

C. d. n.